



04.09.2019

Rockowa polonistka

Absolwentka zielonogórskiej polonistyki ze specjalnością dziennikarską. Kiedyś była prezenterką w Radiu Zielona Góra, a obecnie jest profesorem na Uniwersytecie w Zielonej Górze oraz kierowniczką Pracowni Dziennikarstwa i członkinią Polskiego Towarzystwa Językoznawczego. Prof. UZ dr hab. Magdalena Steciąg i jej różne oblicza.

W 2004 roku wydała Pani swój tomik felietonów pt. „Na każdy dzień kobieta”. W latach 2006-2009 emitowano w mieście radionowelę, do której pisała Pani scenariusz. Felietony zostały nagrodzone w ogólnopolskim konkursie. Dlaczego zaprzestała Pani wydawania kolejnych felietonów radiowych?

Dość długo łączyłam dwa zawody, które są wymagające – dziennikarza i wykładowcy. Swoją przygodę z radiem rozpoczęłam w studenckim Indeksie, później przeszłam do lokalnego Radia Zielona Góra. Był tam wówczas redaktor programowy, który pozwalał nam na różne szaleństwa. Najpierw pracowałam jako prezenterka, czyli zapowiadałam piosenki, ale później spełniałam się na innych polach. Felietony były dla mnie dużym wyzwaniem. Wzorowałam się na Tomaszu Olbratowskim z RMF FM. Podziwiałam to, że on codziennie ma coś do powiedzenia i to w sposób tak zabawny! Chciałam spróbować czegoś podobnego... Nie wytrzymałam długo, bo 3 sezony pisałam te felietony i była to dla mnie orka. Później wystartowaliśmy z radionowelą „Jestem z Zielonej Góry” – pierwszym serialem radiowym w mieście. Szalone przedsięwzięcie! W ciągu 4 lat powstały setki odcinków – codziennie o 9.55 emitowaliśmy nowy. To trzeba było napisać, nagrać, zmontować, więc tej pracy było sporo. Oprócz tego prowadziłam cały czas programy na żywo.

Gdy w 2000 roku skończyłam studia, to pojawiła się możliwość pracy ze studentami. Prowadziłam zajęcia i w coraz większym stopniu nasiąkałam tą akademicką atmosferą. Zaczęłam pisać doktorat, więc praca naukowa mnie coraz bardziej pochłaniała, ale muszę powiedzieć, że byłam w Radiu Zielona Góra ponad 10 lat, czyli dość długo udawało mi się łączyć te dwie pasje. Później wyjechałam na półroczne stypendium do Danii i kontakt z radiem się urwał. Wtedy postanowiłam, że najwyższy czas skupić się na jednej rzeczy. Wybrałam uniwersytet, ale zrobiłam to z dużym żalem, bo w radiu miałam przyjaciół, którzy mnie bardzo inspirowali i z

którymi mogłam rozwijać swoje umiejętności, talenty, pasje. Teraz szczęśliwie wróciłam na antenę, ale rzeczywiście praca ze studentami i praca naukowa stały się dla mnie dużo ważniejsze.

Prowadzi Pani wraz z profesorem Romanem Sapeńko program „Filmopolis” w radiu Index. Więc jest coś, co Panią ciągnie do radia, co to takiego?

„Filmopolis” daje mi radość, że mogę znów być na antenie. Choć to nie tylko przyjemność, ale też ciężka praca; czasami wychodzę ze studia upocona jak po maratonie. Program jest na żywo, więc niczego nie można w nim poprawić. Takie mówienie do mikrofonu po latach jest jednak stresujące.

Jak ocenia Pani swoją pierwszą audycję w radiu?

Byliśmy długo przygotowywani do pierwszego wejścia na antenę. Mieliśmy zajęcia logopedyczne i rozmawialiśmy z doświadczonymi radiowcami, którzy udzielali nam rad. To mi trochę pomogło. Moje pierwsze wejście na profesjonalną antenę miało miejsce późną nocą w Radiu Zachód. To była audycja muzyczna, prowadziłam ją w parze z tak samo mało doświadczoną osobą, jak ja. Oceniam ją jako totalną porażkę. Zupełnie nie byłam zadowolona z brzmienia swojego głosu, ani ze sposobu reagowania na to, co mówił mój partner.

A jeśli chodzi o stres, to czy są jakieś różnice między sytuacjami stresowymi w radiu, a na uniwersytecie?

Właściwie sytuacja jest bardzo podobna. W radiu nas zawsze uczono, żeby wyobrazić sobie odbiorcę. Mówiąc do mikrofonu, nie widziałam go, ale gdy źle mi szło, gdy palnęłam jakieś głupstwo, to od razu zaczynały mnie palić policzki – wstydziłam się, że ktoś gdzieś to usłyszał. To samo dzieje się na uniwersytecie. Na zajęciach zdarzają się takie sytuacje, że coś wyleci mi z głowy, np. nie mogę sobie przypomnieć nazwiska jakiegoś badacza, i czuję to samo. Ten wzrok osób, które mnie słuchają, bez względu na to, czy widzę je bezpośrednio, czy pośrednio, sprawia, że jestem zdeprymowana.

Zostając jeszcze przy porównaniach radia do uniwersytetu, to czym różni się język radiowy od tego, którym operuje się na uniwersytecie?

Różnica jest ogromna i to na każdym poziomie. Jeśli chodzi o sam styl polszczyzny, to w radiu mamy język żywy, potoczny, ponieważ tego oczekują słuchacze. A na uniwersytecie ten, kto wykłada, nadaje ton. Narzuca pewien styl, który różni się od mowy potocznej. I to nie chodzi tylko o samą wiedzę, przedmiot wykładu, ale i o sposób jej przekazywania. Wykładowcy unikają ekspresywnego przekazywania wiedzy, starają się to robić w sposób neutralny – takie są wymogi nauki. Inne są też relacje między nadawcą a odbiorcą. W radiu to działa na zasadzie partnerstwa i to dość bliskiego, ze spłaszczoną hierarchią, a na uniwersytecie wciąż oczekuje się, że wykładowca będzie tym, który przekazuje wiedzę, a student tym, który tę wiedzę odbiera i przyswaja.

Ma Pani dobry kontakt ze studentami. Jaki jest przepis na sympatię, którą zyskuje Pani od studentów?

Przede wszystkim jestem ciekawa ludzi, otwarta na kontakty z nimi. Jeśli się nawiąże nic porozumienia z młodym człowiekiem, to łatwiej zdobyć jego zaufanie. Na studiach dziennikarskich jesteśmy w trudnej sytuacji, bo nie tylko przekazujemy wiedzę podręcznikową, ale przede wszystkim uczymy bardzo wymagającego zawodu i dobrze, gdy student wie, że wykładowca jest też człowiekiem doświadczonym na różnych polach i to, co mówi, to nie tylko wiedza czysto teoretyczna, ale też praktyczna.

Za co Pani najbardziej ceni pracę jako wykładowca na uczelni?

To się w czasie zmieniało. Może dlatego, że prowadziłam różne przedmioty. Inna jest satysfakcja, gdy się prowadzi zajęcia z historii mediów albo z metod badań medioznawczych. Wtedy liczy się to, że studenci przyswajają wiedzę, wyrażają zainteresowanie, poszerzają horyzonty myślenia... Inna natomiast jest satysfakcja, kiedy dowiaduję się, że kolejny student otrzymuje ciekawą propozycję pracy w radiu, w telewizji, w lokalnej gazecie. Bardzo jestem wówczas dumna i trzymam kciuki.

Odbyła Pani również staż naukowo-badawczy na Uniwersytecie w Południowej Danii w Odense, jak Pani się dostała na ten staż?

Są czasami takie okoliczności, że trzeba się rzucić na głęboką wodę, nawet nie wiedząc, czy człowiek się z tej wody wynurzy. Po zrobieniu doktoratu zaczęłam szukać nowego pola badawczego. Zainteresował mnie dyskurs ekologiczny i to, jak się mówi o problemach ekologicznych w Polsce. Zaczęłam szperać po bazach danych i tak dowiedziałam się o różnych podejściach ekolingwistycznych do tego typu analiz. Dość szybko zorientowałam się, że jednym z najważniejszych ośrodków ekolingwistycznych w Europie jest Uniwersytet Południowej Danii w Odense. Natychmiast wróciłam na kurs angielskiego. Wszystko działało się dynamicznie. Uczylałam się języka, przygotowywałam projekt badawczy, opracowywałam wniosek stypendialny, nawiązywałam kontakty z ekolingwistami i wreszcie stanęłam do konkursu. Udało się wygrać dobre stypendium, które było finansowane przez rząd Danii. Czułam się szczególnie wyróżniona, że nie tylko polskie ministerstwo chce stawiać na mój dalszy rozwój.

Która praca dała Pani więcej możliwości?

Uniwersytet jest dla mnie bez wątpienia większą trampoliną niż radio. Musiałam podjąć większe wyzwania i poddać się surowszej ocenie. Odważyć się na trudne przedsięwzięcia, sprostać wygórowanym wymogom. Z drugiej strony mam z tego osobiste korzyści; na przykład zjechałam pół Europy dzięki moim pracom naukowym. Byłam na stypendium w Danii i w Czechach, na konferencjach w Berlinie, Wiedniu, Antwerpii, we Lwowie, w Bukareszcie, Budapeszcie...

A co z barierą językową? Jak sobie Pani z nią radzi?

Wyjeżdżając do Danii w 2010 roku, byłam po dość intensywnym kursie języka angielskiego. Ale wcześniej go aż tak nie używałam, więc początki były bardzo trudne. Do dzisiaj nie czuję się w tym języku komfortowo. Jednakże na wszystkich konferencjach zagranicznych, w których uczestniczyłam, obowiązywał język angielski. Byłam tym trochę zażenowana, bo nawet na konferencjach slawistycznych, poświęconych językom słowiańskim, obradowano głównie po angielsku. To pokazuje, że angielski jest globalnym językiem nauki i trzeba go opanować.

Jakie wspomnienia, dobre albo te gorsze zebrała Pani z wyjazdów?

Moją piętą achillesową jest orientacja w terenie, a trudno sobie odmówić przyjemności zwiedzania, zwłaszcza w tak pięknych miejscach, jak na przykład Bukareszt. Całkiem się w nim zgubiłam i po raz pierwszy wpadłam w panikę. Zwiedziłam siedzibę parlamentu rumuńskiego zwaną Pałacem Ceausescu – potężne, sprawiające deprymujące wrażenie budynki, przy których budowie zginęło wiele osób. To wszystko sprawiło, że czułam się przygnębiona i straciłam czujność. Dostałam się do takiej dzielnicy biedy, które rozciągają się wokół tej siedziby, robiło się coraz bardziej ciemno, wiedziałam, że jeszcze spory kawałek dzieli mnie od stacji i bałam się, że nie dotrę na miejsce.

A lepsze wspomnienie z wyjazdu?

Najlepsze mam z wyjazdów naukowych, wcale nie tak odległych w przestrzeni... Broniłam swojej pracy doktorskiej we Wrocławiu. Przewodniczącym komisji doktorskiej był profesor Jan Miodek – bardzo życzliwie prowadził obrady i jestem mu za to bardzo wdzięczna. Później miałam kolokwium habilitacyjne w Łodzi. Pierwszy raz w życiu byłam w takiej sytuacji, gdy tak wiele zależało od tak wielu. Rada Wydziału Filologicznego, przed którą występowałam, liczyła ponad 100 osób. Po kolokwium wyszłam z sali i kiedy byłam oceniana w tajnym głosowaniu, usiadłam na korytarzu, a mąż, który mnie dzielnie wspierał, zapytał: „Jak było?” I wtedy sobie pomyślałam, że po czymś takim stać mnie wszystko.

A czy miała Pani w swoim życiu chwilę zawahania, że to nie jest ten kierunek, że chciałaby Pani zmienić coś w swoim życiu?

Miałam, wciąż miewam. To wynika chyba z tej ciekawości świata i otwartości na różne działania, które staram się pielęgnować. Marzę o tym, żeby napisać normalną, nienaukową książkę, beletrystykę; chciałabym popłynąć trochę w prozę. Ale myślę, że ta droga, którą wybrałam, jest dla mnie, na tym etapie życia, najlepsza i kurczowo się jej trzymam. A może w przyszłości uda się jeszcze różne rzeczy połączyć, tak jak kiedyś?

Tak na koniec, może chciałaby nam Pani przedstawić w tym wywiadzie taką swoją twarz, która nie jest znana studentom? Hobby, pasje, które nie są związane z pracą zawodową...

Uwielbiam rocka i punk rocka, czyli ostre brzmienia. Po pierwsze dlatego, że jestem przygłucha, a rock jest bardzo głośny. Po drugie wychowałam się na nim. Moja młodość przypadła na okres rozkwitu grunge'u, czyli wyjątkowej odmiany rocka, w którym jest bardzo dużo „brudu”, spontaniczności, emocji i bólów związanych z dorastaniem. Co roku obchodzę rocznicę śmierci Kurta Cobaina z Nirvany – tak, należę do klanu wdów po Kurcie Cobainie. Wciąż słucham Pearl Jamu i innych kapel z dawnych lat. No i zaznałam trochę życia festiwalowego – hartowałam się na Woodstocku, ale nie gardzę też bardziej komercyjnym Open'erem, na którym widziałam takie gwiazdy, jak Faith No More, Massive Attack, Jacka White'a, także z Dead Weather, Blur, Queens of the Stone Age i wiele innych. A jeśli chodzi o moich ulubionych artystów w Polsce, to znajomi, bardziej obeznani w muzyce, się ze mnie śmieją, ale ja kocham Organka!

Martyna Pawelska, Sandra Skobel

Studentki dziennikarstwa i komunikacji społecznej na Uniwersytecie Zielonogórskim

Linki:

- <http://www.ifp.uz.zgora.pl/>

Słowa kluczowe: prof. Magdalena Steciąg, wywiad, Instytut Filologii Polskiej UZ